

Do niczego nigdy nie można wrócić, ale potrzeba naprawdę dużo czasu, żeby się o tym przekonać...

Kiedy wysiadłam z autobusu na rogu 40th Street i Eighth Avenue czułam się, jakbym przybiła do obcego portu. Miasto – tropikalne i parne – rozbrzmiewało muzyką: gitar, harmonijek, czasem trąbek; muzyką z radioodbiorników. Dzieci bawiły się po ciemku, kobiety rozmawiały ze sobą na chodnikach albo wejściowych schodach, albo też nawoływały się z okien. Noc była ciężka od żądz i przemocy, a niscy, śniadzi mężczyźni paradowali dumnie po ulicach cichym krokiem. To wszystko było jak inny świat, całkiem odmienny od smażonych ziemniaków na śniadanie i pracy przy autostradzie. Tamto zostawiłam za sobą półtorej godziny wcześniej. Mimo to miałam wrażenie, że tutaj jest tak samo, zupełnie tak samo gdy patrzyłam po ciemku na to zatłoczone miasto.

W centrum na ulicach królowała młodzież, która latem schodziła się do Village. Z Washington Square słychać było dudniące przecznice, a kiedy weszło się w tłum wokół fontanny, widziało się bosych, młodych mężczyzn, gołych do pasa, i młode kobiety w podkasanych spódnicach; tupali i tańczyli razem ciemną nocą.

Nie miałam bagażu ani mieszkania. Stare przypaństwo, kiedy mnie nie było, z powodu niepłacenia czynszu, a O'Reilley przeniosła moje rzeczy, głównie książki, do kamienicy przy West Tenth Street, gdzie mieszkał René Strauss – męska prostytutka i tancerz. Przyłączyłam się do dzieciaków przy fontannie, śpiewając i klaszcząc wraz z nimi, witając się z przyjaciółmi i znajomymi, słuchając nowin. W końcu tłum się przerzedził, muzycy wrócili do domów, a ja poszłam do René i odpadłam.

Kilka następnych dni poświęciłam na weryfikację środowiska. Miasto było naprawdę zatłoczone, nikt nie chciał wynająć żadnej chaty, lecz zamiast się tym zadręczać, zaczęłam sypiać w parku.

W tamtym czasie nie było żadnych ograniczeń dla obywateli, chcących skorzystać z publicznych parków, nie wprowadzono jeszcze żadnych parkowych godzin policyjnych. O drugiej nad ranem Washington Square pustoszał: znikali folkowcy, pedały i pełne dobrych chęci dziewczynki z New Jersey, więc rozciągałam się na schodach fontanny i spałam spokojnie aż do świtu, kiedy pojawiał się parkowy stróż z wielką miotłą i budził mnie. Zamiatał mi pośłanie i odchodził, a ja i kilkunastu innych, zupełnie obcych ludzi, z którymi dzieliłam to „łóżko”, witaliśmy się ze sobą rozespiani i kładliśmy się znowu spać do dziesiątej albo i na dłużej, do czasu, kiedy pojawiali się pierwsi spacerowicze.

Najczęściej było nas ośmioro – ośmioro śpiących regularnie pod fontanną, z których sześcioro sypiało tam każdej nocy. Poznaliśmy się całkiem dobrze, jeśli chodzi o nawyki, nastroje i aury, ale nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą. Intymność dzielenia ze sobą publicznie łoża i niepisany, lecz obowiązujący w tamtym czasie kod *cool*, sprawiały, że byłoby niefajnie, gdybyśmy znali się po imieniu lub mieli sobie do powiedzenia coś więcej ponad zdawkowe poranne powitania. Pakowanie się komuś z buciorami w życie i zabieranie mu czasu czężą gadką byłoby niestosownym najściem, a nieuniknione w takich razach opisywanie własnych doświadczeń emocjonalnych zniszczyłoby tę przestrzeń, którą niczym najcenniejszy dar dało nam to obojętne miasto.

Wstawałam o dziesiątej, przeciągałam się, rozglądałam i czytałam przez godzinę, póki się do reszty nie rozbudziłam. Potem wpychałam cały dobytek do aktówki, służącej mi wówczas za przenośny dom i mieszczącej płaszcz przeciwdeszczowy, szczoteczkę do zębów, zeszyty, pióra i zmianę bielizny. Z dyplomatką pod pachą szłam do chińskiej pralni przy Waverly Place. Trzymałam w niej wszystkie ubrania na osobnych kwitach: jedną parę spodni i jedną koszulę na każdym kwicie. Odbierałam ubranie i niosąc paczkę z pralni i dyplomatkę, wędrowałam do otwartego od jedenastej Rienziego, gdzie zamawiałam śniadanie – zazwyczaj coś słodkiego i espresso, choć czasem pozwalałam sobie na jajka i muffinki, a nawet na kiełbasę lub bekon. Czekając na zamówienie, szłam do łazienki na dole po śmierdzących,

zawilgoconych schodach, nad którymi wznosiły się zapleśniałe ściany, potem korytarzem jak z kart powieści *Hrabia Monte Christo* do maleńkiego, zagraconego, lecz o dziwo czystego pomieszczenia, gdzie myłam twarz, nogi i ręce, szczotkowałam zęby i przebierałam się, wpychając brudne ciuchy do papierowej torby, którą nosiłam w aktówce specjalnie w tym celu. Potem rozczesywałam szczotką włosy, wiązałam je i czując się prawie jak człowiek, wracałam na górę, żeby zjeść śniadanie.

Siedzenie w spokojnej, niezatłoczonej kawiarni, picie dobrej mocnej kawy, czytanie i rozmawianie ze znajomymi, którzy wchodzą i wychodzą, gdy zbliża się południe, oraz zapisywanie przypadkowych słów w zeszycie to wielka przyjemność. Siedziałam w tej kawiarni tak długo, jak tylko się dało – zazwyczaj kilka godzin – a po południu wychodziłam „do pracy”. Policja przymknęła wówczas Nelsona Swana, faceta, któremu Duncan Sinclair sprzedawał swoje zdjęcia, prawdziwego magnata pornograficznego, więc ten rynek zrobił się na jakiś czas niedostępny. Znalazłam zatem znacznie prostszą i przyjemniejszą pracę – choć o wiele mniej lukratywną – u starych malarzy, działających w naszych kręgach: malarzy starszych o pokolenie albo dwa od abstrakcyjnych ekspresjonistów i korzystających wciąż z modeli.

Byli to mili, przyjaźni faceci, którzy dorastali w czasach Wielkiego Kryzysu i malowali w stylu nazywanym w latach trzydziestych „realizmem społecznym”; byli ludźmi o smutnym, dręczącym ich przeświadczeniu, że świat uległ zmianie od „ich czasów”, i o upartej, dobrodusznej chęci przekonania się, na czym ta zmiana polega. Większość z nich mieszkała blisko Washington Square, więc chodziłam piechotą do ich pracowni, wpadając po drodze do chińskiej pralni, gdzie zostawiałam brudne ciuchy. W pracowni Moseesa Soyera siadałam na stołku lub kładłam się na leżance, jego żona wchodziła i wychodziła, bez przerwy gadając, a Moses opowiadał mi plotki o innych modelkach: ta spodziewa się dziecka, tamta wyjeżdża do San Francisco... Można było uwierzyć, że człowiek przeniósł się do nawiedzonego dziewiętnastowiecznego Paryża i ujrzeć pod powiekami twarze z *Cyganerii*. Za dwie godziny pozowania dostawałam tyle pieniędzy, że stać mnie

było na obiad i śniadanie następnego dnia oraz na pralnię. Ponieważ nie miałam innych potrzeb, uważałam, że jestem bogata.

Po jakimś czasie praca modelki przyniosła mi pewne luksusy: poznałam Victora Romero, młodego fotografa ze stałą pracą i mieszkaniem, do którego pożyczyła mi czasem klucze. Mogłam wziąć prysznic. Kiedy pozowałam dwa razy w ciągu jednego dnia, zabierałam René albo O'Reilley na obiad. I zapisałam się do New York Public Library, dzięki czemu urozmaiciłam swoje lektury.

Któregoś dnia weszłam do księgarni Quixote przy MacDougal Street i Norman Verne, właściciel, zaproponował mi pracę. Wybierał się wraz z żoną, Gypsy, na miesięczne kajakowanie po kanadyjskich jeziorach i zapytał mnie, czy byłabym gotowa poprowadzić księgarnię. W księgarni była kuchenka na zapleczu, z piecykiem i lodówką, oraz wojskowa prycza, którą można było rozkładać i spać niemal luksusowo. Rozpoczęły się deszcze i burze końca sierpnia, więc sypianie w parku przestało być fajne i wygodne, zatem przyjąłam ofertę, uprzedziłam o wszystkim malarzy i wprowadziłam się do księgarni razem ze swoją aktówką, a Norm i Gypsy wyjechali.

Po ich wyjeździe przekonałam się, że w księgarni jest też zamontowany na stałe ćpun: bardzo piękny, przypominający ducha blondyn, Luke Taylor, który grał smutne bluesy na gitarze i wstrzykiwał sobie heroinę – herę, jak mówiliśmy. Widywałam Luke'a od jakiegoś czasu w naszym gronie – przychodził na sobotnie „czynszowe imprezy”, które odbywały się w lofcie przy Twentieth Street i Seventh Avenue – i miałam go na oku, odkąd usłyszałam, jak śpiewa. Było coś „*supercool*” w jego nędznym wyglądzie: spleaszczonym złamanym nosie, opadających powiekach nad zielonymi oczyma, chudej wynędzniałej twarzy ćpuna z zapadniętymi ustami; ta mieszanina głodu i zgorzknienia bardzo mnie wzruszała, chciałam go pocieszać, dotykać, pieścić, ogrzać jego przemarznięte ciało. Zakochałam się wtedy w Luke'u i byłam w nim zakochana przez pewien czas.

Pierwszego wieczoru w księgarni – która była czynna od czwartej do północy, by mogli z niej korzystać turyści – stanęłam

w progu, przyglądając się ludziom na MacDougal Street. Wraz z końcem lata w Village zrobiło się nieprzyjemnie. Mówimy o połowie lat pięćdziesiątych, kiedy Włosi mieszkający za Bleeker Street, coraz bardziej nerwowi z powodu napływu „nowej cyganerii” (terminu „bitnik” jeszcze nie wymyślono), zaczęli się odgrywać, organizując naloty i wypadki na „nasze” terytorium – ulice na północ od Bleeker. Należy przy tym zaznaczyć, że my nie respektowaliśmy podziałów terytorialnych, najeżdżając ich ulice *en masse*. Kamienicznicy oddawali nam nowe mieszkania przy Sullivan Street, Thomson Street i tak dalej, a mieszkania te były tanie i wygodne, jeśli działało się w środowisku Village, ale znajdowały się w samym sercu włoskiego terytorium. To właśnie do nich przenosili się nierespektujący tradycji młodzi ludzie z nowego Village: chłopcy w sandałach albo boso, ozdobieni biżuterią, i dziewczyny w mocnym makijażu, które żyły z wieloma chłopakami jednocześnie, a także cioty i – co w oczach Włochów ze slumsów wyglądało na największą zbrodnię – pary rasowo mieszane.

Policją kierowało Tammany Hall¹⁰, a siedziba Tammany mieściła się w samym sercu włoskiej Village, co sprawiało, że stróże prawa przemykali oko na wyczyny włoskiej młodzieży. Dwa dni wcześniej widziałam, jak grupa ze dwudziestu nastolatków goniła po Washington Square François, spokojnego jasnoskórego mulata z Bahamów, i dopadła go w końcu na jakiejś budowie. W tym czasie po ulicy krążył policyjny wóz patrolowy. Dwudziestu łobuzów stało na pustym placu, wykrzykując obelgi i bojąc się wejść do wznoszonego budynku, aż w końcu ktoś wpadł na pomysł: „Dawaj rurkę! Dawaj rurkę!”. Reszta podjęła okrzyk, a radiowóz odjechał do wtóru tych znamionujących żądę krwi gróźb. Policjanci nawet nie spojrzeli za siebie. François, którego znałam z widzenia, chodził od początku lata, kiedy znaleźliśmy się w Village, z Lindą, śliczną szesnastolatką.

10 Potoczna nazwa organizacji politycznej Tammany Society, która przez kilkadziesiąt lat dzierżyła faktyczną władzę w Nowym Jorku, stosując mocno kontrowersyjne metody z pogranicza prawa, albo wręcz z nim sprzeczne. Jej kres nastąpił w latach 60. XX wieku – przyp. red.